

WIADOMOŚCI BRUKOWE.

Wilno w Sobotę

Dnia 12 Kwietnia.

METODY LECZENIA.

Człowiek jest z gruntu zepsuty, rzekł Pan Głupko, mój spokojny sąsiad, dobra dusza! i podniósł oczy w górę: nic już rodzajowi ludzkiemu nie zostaje, tylko żeby tak jak jest, zupełnie się wygubił; żeby nowy ród powstał, zupełnie inne stworzenie. Jakież stworzenie! rzekł Pan Samopał, mój burzliwy sąsiad; i wparł się w boki. Człowiek jest najlepszy taki jaki jest, tylko niech się nazbyt nie pieści. Spuścić nos na kwintę, Mospanie, to 'znaczy stracić serce, a im kto bardziej zahartowany, tym zdrowszy.

Sąsiad spokojny rzucił na mnie wzrok pełen żalości, a zuch uderzył mnie po ramieniu, i oba żądali mojego zdania w téj mierze. Jeden z nich widocznie był desperatem moralnym; który ustawnie narzeka na ród ludzki; drugi zapamiętałcem, duchem mocnym, który w zapędzie myśli człowieka namiętnego, ideala poetycki, za ideał prawdziwego życia uważa i szczerze ludzi podług niego chciałby przeobrazić.

Oba WWPanowie macie człowieka za chorego, rzekłem, i może się nie mylicie; ale co do rodzaju choroby i sposobu leczenia nie możecie się zgodzić. A tu tylko jeden z WWPanow może trafić, albo też ni jeden ni drugi. Ten WWPanow spór przywodzi mi na pamięć zdarzenie, którebym rad im opowiedział, gdybyście mnie posłuchać chcieli. — Słuchamy.

Do jednego znacznego miasta, którego nazwiska nie pamiętam, przyjechali na kuracyą trzy Hrabowie, wszyscy trzy równie niebezpiecznie chorzy. Czy zanadto służyli Cezarze, czy Bachusowi, czy innemu jakiemu Bóstwu, lub też jad od szacownych przodków w ich krew przeszedł, z pewnością powiedzieć

nie mogę. Dosyć, były to trzy mumię. Hrabia Spiochowicz wyglądał jak febra, Hrabia Kaszel jak konsumpcya, Hrabia Wywiędliński jak suchoty.

Byli w tém mieście trzy sławni medycy. Doktor *Słodź*, Doktor *Forsuy* i Doktor *Zgłębiay*. Pierwsi dwaj byli nie więcej tylko Empirykami, to jest: leczyli podług metody chybił trafił, i mieli niezmierną praktykę; ostatni z wielkiem zastanowieniem i przenikłością, opuszczony był od chorych. Doktor *Słodź* służył u pści piękney i mędrców gotowalnianych, Doktor *Forsuy* miał wielką wziętość u młodzieży i czcicielów wszelkiej nowości, Doktor *Zgłębiay* używany był od ludzi rozsądnych, i naturalnie, chodził piechoto; tamci dwaj jeździłi karetą.

Hrabia *Spiochowicz*, za radą ciotki swojej, oddał się w ręce Doktora *Słodzia*. Ten w swoim chorym nie znalazł, tylko soki zbyt ostre, które trzeba było złagodzić; zgęstwiałe, które trzeba było rozrzedzić i zepsute, które trzeba prędzej później wyprowadzić. Wziął się tedy pilnie do roboty, łagodził, rozrzedzał, ścigał, zwalniał i wyciągał wszelkimi drogami od natury danymi. Zaraz nazajutrz zrana Pan Hrabia wziął dobrą dozę Manny Kalabryny, o południu siedział nad stoikiem *pulpae tamarindorum*, a przed spaniem brał kremor tartari z cukrem; zwyczajnym napojem była orszada, a osobliwie tyzanna z drzew słodkich. Spał w puchu ciepło okryty, a wyszedł z izby zakazano mu było, pod karą apoplexyi. Nie minęło paratygodni, a u Hrabiego *Spiochowicza* nie było już nic więcej do wyprowadzenia, prócz duszy; jakoż i tę niezwłocznie Doktor *Słodź* wyprowadził z ostatnią Manną Kalabryną.

Hrabia *Kaszel*, który właśnie w teyże porze myśleć zaczynał o swojej kuracyi, prze-

raził się tym przykładem i położył zaufanie w Doktorze Forsuju. Ten nie myślił o czyższczeniu swego pacyenta; potrząsł tylko głową, trzymając za puls chorego, i przepisał lekarstwa wzmacniające. Nurzał go co raneł po uszy w wodzie jak lód zimney. Quasia z Portweinem zastąpiła herbatę, a zraz surowey szynki na partyce razowego chleba służył za śniadanie; przed pierwszą łyżką supy stuknął kielich stomachalki, a idąc spać połykał jeszcze tęgą porcyą Chiny. Całą jego pościelą był twardy materac pilścią wypchany, a całém nakryciem przeźroczyista kolderka flanelłowa. Tym sposobem Doktor Forsuy spodziewał się, że swego pacyenta, jakkolwiek słabego, przerobi na Herkulesa. Jakoż i przerobił; ale na Herkulesa takiego, jaki się spał na górze Oecie: bo Hrabia Kaszel, zanadto wzmacniany, nagle oszalał: porwał nabity pistolet i w łeb sobie zapalił. Zjadł jeszcze był dozę chiny; Woltera dykcyonarz filozoficzny leżał przed nim otwarty.

Dwoma przykładami nauczony trzeci, Pan Hrabia Wywiędliński, udał się do pokornego piechura P. Doktora Zgłębiaja. Ten poznał zaraz, co jemu jest. Pan Hrabia zbyt używał, a nie nie robił; używał jednych sił natury za wiele, drugich za mało. Chcieć go zaraz osłabić, byłoby to w terazniejszym stanie jego zgubić; a chcieć go nagle wzmacniać, byłoby jego słabość pogorszyć. Jak uważam, rzekł do siebie, trzeba względem tego obojga bydź otrzonym: a nadewszystko, mój chory powinien używać lekkiego ruchu i regularną dyetę zachować. Na szczęście, Pan Hrabia posłuszny był tą razą doktorowi, i żyje dotąd, jeszcze nie od wszystkich dolegliwości wolny, ale, ile można, w ogólności zdrów i wesoł.

A widzisz W Pan, rzekł Pan Głupko, tu jest oczwista łaska opatrności, która sama tylko bydź pomyślny ludziom daje. Tak, widzę, krzyknął Pan Samopał, chyba w tém, że dała Doktorowi rozum, iż nie myślał o czyższczeniu, przerabianiu i tworzeniu nowey istoty. Tak tedy dawna kłótnia znowu się wszczę-

ła, jeden twierdził, że natura z gruntu jest zepsuta, drugi, że jest zupełnie doskonała; jednemu się ustawicznie roilo, żeby ją czyścić, drugiemu żeby ją wzmacniać. O zastosowaniu mojej historyyki ani pomyślił żaden, i postrzegłem za późno, że to próżna praca myć murzyna, i ludzi trzymających się jakiej partyi na innę zdanie chcieć nakłonić.

S W I S T E K Z O L I M P U .

(obacz *Nrek.* 116)

Kilka dni temu, gdy się przecie słońce pokazać i cokolwiek nas ogrzewać raczyło, rzucilem piec i kominek, a wzięwszy tylko kapotę na się, poszedłem chodzić pod Zamkową górą. Słońce dogrzewało coraz żywiej, i, co się u nas rzadko zdarza, zefir przyjemnie powiewać zaczął. To wszystko dało mi cokolwiek życia i wesołości myślom: przyszło mi więc do głowy wdrapać się na górę. Przybywszy już wpół drogi, zatrzymałem się cokolwiek dla odpoczynku i zacząłem patrzeć na miasto. Wtém wzmógł się nagle zefir i tak mocno wiać począł, że ledwo wielki mój i rozłożysty kapelusz utrzymał na głowie. Gdy się to działo, postrzegłem: że wiatr niośł a niośł od miasta rozmaitey wielkości papiery i świstki, z których jeden leciał prosto na mnie; machnąłem więc kapeluszem i strąciłem go na ziemię; a podniosłszy, zacząłem czytać skwapliwie. Łatwo się, kochany czytelniku, domyślisz, jakie musiało bydź moje podziwienie, kiedy przeczytawszy się w tym świstku postrzegłem: że to była kartka z górnego archiwum, albo raczej z Olimpu. Nie wiem która to była kartka, bom nie dostrzegł na niej żadnego wyraźnego numeru; a zatem daruy, że tu nie będzie ani początku, ani końca; a ja nicem więcej nie złowił, bo zefir szalony, Bóg wie gdzie resztę poroznosił; ale przez affekt do ciebie, muszę ci tę okrużynę dziejow olimpijskich udzielić.

„Gdy tak Jowisz mówił, Irys kilka razy nieknęła i znowu powracała; Minerwa zdawała się bydź niespokojną i czekać jakiegoś wypadku; a Apollo uśmiechać się począł. Wtém dał się słyszeć tentent koni i turkotanie pojazdów, które prosto, częścią po ubarwionym gościńcu Irydy, częścią po mléczney samych bogów drodze, do Olympu zajeżdżać poczęły. Co to znaczy? zawołał Jowisz. Nie oycze, odpowiedział Apollo: zdawało mi się, iż dla ostatecznego rozstrzygnięcia sporu dwóch Bogiń, potrzeba było dostawić niektórych świadków. Alboż tych dwóch końsciannych lalek nie dosyć? zawołał Jowisz w gniewie — Nie! oycze, odpowiedział Apollo; ten wędzony mędrzec, którego Merkury dostawił, winien suchoty swoje poczęści Wenerze samey; ale niech się Merkury swego dzieła nie wstydzi, należał i on znacznie do tego wychudzenia i tey nadzwyczajney czułości; od dawnego on już czasu zwykł naprawiać psoty tey Bogini. Nie te teraz czasy, oycze, żeby mędrcey z suchot umierali. Poradzili oni sobie nieźle przez utworzenie i coraz nowe tworzenie bractw uprzywilejowanych, gdzie mają o sobie i o małych liczbie, nie naszych, ale swoich wybranych, dobre staranie. Ci tylko schną, których oni do swoich przywilejow i swojego bractwa nie chcą przypuścić. Samę prawdę powiedziawszy, chuchają w łapki i moi oblubieńcy; ale ich nie bardzo żałuję: na co darów moich na złe używają. Natchnienia, któremi ich obdarzam, nie zażywają na opiewanie prawdy i cnoty, ale na kadzenie możnym. Przez to sobie nie wiele pomogli, bo im tylko pochwałami i obietnicami płacą, a Muzy moje zhańbili.“

„Ale dla zaspokojenia twojego, spóyrzyy, Władzco niebios, na terazniejszych mędrceow. Czegoż oni tu karetami zajeżdżają? odezwał się Jowisz. Bo chodzić zapomnieli i wstydzają się nawet, dodał Apollo. Tu zaczęła przeciągać po przed tron Jowisza, długa kolej pojazdów, rozmaitego kształtu. Jowisz niektóre tylko zatrzymywał i pytał się o zasiadają-

cych w nich mędrceow. Przesuwali się opasli oblubieńcy Minerwy, to w purpurze, to w fioletach, to w czarnych sukniach rozmaitego kroju. Bogini uśmiechała się złośliwie, widząc oblubieńce swoich w takiej pomyślności i w takim blasku. Wtém Jowisz, postrzegłszy jednego z uczonych, czerwonego jak rydz i wypełniającego całą przestrzeń karety, dał znak Merkuremu, ażeby go zatrzymał i kazał wysadzić. Ale barczysty, sążnisty i opasły mędrzec, ledwo się przez drzwiczki od pojazdu przecisnął i tak się tą pracą zasiał i spocił, iż stanąwszy przed Jowiszem, nie mógł zasapany i słowa przemówić, ale tylko spoczną twarz i czoło raz wraz ocięrał. Nie cierpliwy Bożek zapytał Merkurego, jaka jest jego nauka? Bardzo wysoka, odpowiedział syn Maji; on zgłębia twoje władzco Olimpu przyrodzenie, i innym tę tajemnicę tłómaczy. Dobrze o sobie rozumie, odpowiedział Jowisz; ale nie znać, żeby się bardzo spracował; weśniycie go do karety nazad i niech jedzie daley.“

„Pokażcie mi tamtego wymuskanego fircyka, co się w karecie uśmiecha i wszystkim przymila. Zaszedł lekki pojazd, a uczony wymuskany, wyperfumowany i pomyślnością jaśniejący jak słońce, a do tego dobrze wykarmiony i rumiany, trzyrazy się bardzo zgrabnie i gładko Bogom i Boginiom uklonił. A toż kto taki? zawołał Jowisz. Jest to także czciciel Minerwy, odpowiedział Merkury; ale syn Eskulapa. Ja się do niego nie przyznaję: zawołał Eskulap: mam ja takich nieprawych dzieci pełno na całej ziemi: tworzą się oni jedni drugich i mnożą sami bez mojej wiedzy i pomocy: ja nayeściey o nich nie wiem i wiedzieć nie chcę. Więc się ty nim opiekujesz Minerwo? rzekł władzca Olimpu. Ani ja zupełnie, odpowiedziała Bogini: on mało wdycha do mnie; sama tylko Fortuna ma go w swojej pieczy. Winszuję, rzekł, Fortuno, nie źle się twoim oblubieńcom powodzi; ale pamiętaj, że się wdajesz nie w swoje rzeczy, nadając nawet naukę i rozum. Merkury! wypędź je-

go trzpiota na ziemię. Toczyły się więc znowu pojazdy. Gdy się to działo, wszystkie Bogi i Boginie w głos się śmiać poczęły, widząc kołyszącego się i w pół uspiętego mędrca, który także cały pojazd zapełniał. Jowisz dał znak i Merkury zatrzymał pojazd; ale siedzącego w nim uczonego ledwo wydobyto, a i tak na nogach postawić nie można było. A toż kto? rzekł Jowisz: wszakto raczy czciciel Bachusa. Bynajmniej, odezwał się Merkury, to jest mędrzec, który wie na pamięć i rozumie wszystkie prawa, jakie były od stworzenia świata, a używa tej umiejętności na obronę własności tych, którzy się uciekają do niego; a że przy tém wielbi Bachusa, to nic nie szkodzi. Zaczny człowiek, odezwał się drzymiący Bachus; a cały Olymp śmiać się począł.

Co za szkoda, kochany czytelniku! tu się mój świstek skończył.

z Warszawy

O S O L I D A R N O Ś C I.

Święte niech będzie imię tego, który pierwszy wymyślił *solidarność*, wyraz nieznanym od naszych przodków, a na którym się gruntuje całe pojęcie związku towarzyskiego. Przedtém ludzie, w prostocie ducha mówili: „Oto zwyczajnie człek stworzony jest do pracy, drugi żeby z niej korzystał, doktor żeby leczył, szarlatan żeby uwodził,„ Teraz, nie ma już żadnej różnicy, żadnego przywieleju pomię-

dzy stanami, wszyscy ludzie są sobie równi, ale tylko ustanowiona jest między nimi *solidarność*; co się znaczy, że każdy na kogo przypadnie odpowiadać *in solidum*, musi za drugich pracować, męczyć się, biedzić, aż do porachunku ogólnego, który się rozpocznie na sądzie ostatecznym. Podług wiadomości z Warszawy nadesłanych, gdzie jak wiadomo, liberalność posunięta jest do najwyższego stopnia, urzędnicy zaprowadzili pomiędzy sobą pewny rodzaj *solidarności*, a to w tym sposobie, że kiedy jedni pracują po biurach od godziny 8ey ranney do południa, i od 2 do 6 po obiedzie drudzy biorą za nich pieniądze etatowe, jeżdżą do wód, kupują kabryolety, umizgają się po łożach. żenią się i t. d. Niedawno temu, piszą jeszcze stamtąd, dwóch vice referendarzy ułożyli tym sposobem kontrakt towarzyski z trzecim, któremu wypadła potrzeba jechać do Szwajcaryi, już to jak mówią niektórzy, dla poznania świata, już to jak mówią inni, dla próżney włocegi. Tymczasem, kiedy koledzy jego, którzy wzięli na siebie *solidarność*, pracując po biurach ministeryalnych, po ośm godzin na dzień, pobledli i pochorowali się nad aktami, tamten nazbijawszy bruków w Genewie, przyjeżdża zdrów i wesół, zabiera przed nimi wyższy stopień, i do tego wszystkiego udaje się po pensyą zaległą, którą mu wydano na opędzenie potrzeb, jakie każdy człowiek mieć musi, zwłaszcza po długiej podróży. Raz jeszcze powtórzmy: *Święte niech będzie imię tego, który wymyślił solidarność, wyraz nieznanym od naszych przodków, a na którym się gruntuje całe pojęcie związku towarzyskiego.*

Dozwala się drukować z warunkiem dostawienia do Komitetu Cenzury siedmiu exemplarzy dla miejsc prawem wyznaczonych.

F. N. Golański Kom. Cenzury Czl.

• Wilnie w drukarni Redakcyi pism peryodycznych.